



JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

SZ A Ł Ł O W I E N I A M O T Y L I

BARBARA, STWORZONA DO GOMBROWICZA

Nad fenomenem Barbary Krafftówny łamał sobie głowę niejeden historyk teatru, recenzent, dziennikarz. I wielu pozostało bezradnych. Z dziesiątek, a może setek, tekstów, jakie przeczytałem na jej temat, najbardziej utkwiła mi w pamięci opinia Edwarda Csató, który o zmarłej tydzień temu aktorce napisał przed laty, że „ma ona w sobie organiczną »naturalną nienaturalność«, zaczynając od głosu i ruchu, które czynią wrażenie, jak gdyby z baletową płynnością przepływały przez niewidoczne jakieś katarakty i przeszkody, poprzez spojrzenia, reakcje na słowa i zachowanie się partnerów, aż do umiejętności tworzenia wokół siebie niesamowitością trącej aury psychicznej”.

Aktorstwo Krafftówny wymykało się łatwym definicjom. Weźmy choćby taki paradoks, że będąc wielką indywidualnością, doskonale sprawdzała się w duetach, w których – co ważne – nie tylko bardzo szanowała drugą połowę, ale też w relacjach Mistrz – Uczeń bez oporu ustawiała się w cieniu tego pierwszego. Tak było choćby z Iwo Gallem, jej pierwszym mistrzem. To dzięki jej licznym opowieściom o jego nowatorskich sposobach pracy z aktorem Iwo Gall nie uległ zapomnieniu i nie stał się dla wielu Gallem Anonimem polskiego teatru. To on, jak powtarzała, nauczył ją pracy nad głosem, pracy nad

ciałem. W jego studiu niczym w zamkniętym zakonie uczyła się aktorstwa.

Kolejny mistrz Erwin Axer, twórca warszawskiego Teatru Współczesnego, otworzył przed nią bramy światowej literatury. I dał okazję, by partnerowała najlepszym. Jeden z przykładów to słynna premiera „Play Strindberg” wyreżyserowana przez Andrzeja Wajdę, w której grała z Tadeuszem Łomnickim i Andrzejem Łapickim. Jak sama mówiła, wiele zawdzięczała też legendarnemu dyrektorowi Teatru Narodowego Kazimierzowi Dejmowski. On właśnie wprowadzał ją do świata „uciech staropolskich”. To na scenie Narodowego miała szansę przekonać, że idealnie czuje się w świecie Witkacego. Inne wyzwanie czekało ją w warszawskim Teatrze Dramatycznym. To tu pod koniec lat 50. była pierwszą Iwoną księżniczką Burgunda, grając tytułową postać w światowej premierze sztuki Gombrowicza. W świecie Witkacego i Gombrowicza poczuła się na tyle silnie, że stała się ich nieformalną ambasadorką. Z taką „misją” wyjechała pod koniec lat 80. do USA zaproszona do grania po angielsku „Matki” Witkacego, a potem też widowni za oceanem dała szansę pobiesiadować z bohaterką młodzieńczego opowiadania Gombrowicza hrabiną Marią Kotłubaj. Z tym utworem zetknęła się ponownie pod

koniec życia, tym razem grając Starą Markizę w spektaklu telewizyjnym.

O przygodzie z Gombrowiczem mówiła, że była dla niej jak lot w kosmos. O Witkacym zaś w biograficznej książce „Krafftówna w krainie czarów” Remigiusza Grzeli przyznała: „Mam instynktowne wyczucie deformacji, którą miał w sobie i którą zapisał w swojej twórczości. Deformacja daje aktorom ogromne pole do popisu”. Smak międzynarodowego sukcesu poznała już na początku aktorskiej kariery jako Zerzabella w „Paradach” Potockiego. Spektakl Teatru Dramatycznego podbił Paryż prezentowany w Teatrze Narodów w 1961 roku. Tam stworzyła niesamowity duet z Wiesławem Gołasem w roli Gila.

Świetnych aktorskich duetów było znacznie więcej. Choćby ze Zbigniewem Cybulskim w filmie Wojciecha Hasa „Jak być kochaną”. Jej postać Felicji uznana została, nie bez racji, za jedną z najlepszych ról kobiecych w historii polskiego filmu. Wielką popularność dał jej duet z Franciszkiem Pieczką w serialu „Czterej pancerni i pies” – ona charakterna Honoratka, on silny Ślązak Gustlik Jeleń. Do historii kabaretu przeszedł jej duet z Bohdanem Łazuką w legendarnym Kabarecie Starszych Panów, w którym szybko stała się jedną z gwiazd. Miała szczęście do reżyserów, autorów, aktorów i publiczności. Wiedziała, jak być podziwianą i jak być kochaną. ©